

TEATR

Prawda, która dusi

„Odyseja. Historia dla Hollywoodu”
Warlikowskiego
 w Nowym
 to wyprawa
 do Hadesu
 współczesności.

JACEK CIEŚLAK

„Alkohol jest bogiem. Świat bez alkoholu jest pusty” – stwierdza metaforycznie Elizabeth Taylor, grana przez Magdalenę Cielecką. Bo ludzkość nie jest racjonalna. Kierują nią pokusy, życie zamienia w piekło. „Nie ma w tobie duchowości” – mówi na potwierdzenie tego Penelopa (Jadwiga Janowska-Cieślak) do Odysa, który po wieloletniej tułaczce i romansach wrócił do Itaki.

Właśnie między chorobliwymi emocjami a buddyjską prostotą rozpięty jest nowy spektakl **Krzysztofa Warlikowskiego**: medytacja nad tym, jak żyć, ale i opowiadać siebie oraz świat. Kontrast dla Odysa, granego współcześnie przez 90-letniego Stanisława Brudnego, stanowi Izolda Regensberg, bohaterka książek Hanny Krall. Szalona polska Żydówka przeszła przez wiele obozów koncentracyjnych, kierowana miłością do męża, którego chciała ratować z wojennych opresji.

Delikatnie o rozpaczy

Odys opowiada Penelopie, synowi Telemachowi o wojnie trojańskiej i jak „pieprzył się z boginiami” Kirke i Kalipso. Skarży się, że czuł jad takiej miłości, a nawet wymiotował. Rodzina reaguje na popis martyrologii „dziaderna” milczeniem i zażenowaniem.

Izoldę (młodą gra Maja Ostaszewska, starszą Ewa Dalkow-



„Odyseja” dedykowana jest Zygmuntowi Malanowiczowi

ska) mąż też zdradził. Mielibyśmy wzorcowy feministyczny przykład facetów, mądrzejcych dopiero na starość, oraz poranionych kobiet, ale dramaturgia spektaklu **Warlikowskiego** napędzana jest nieoczywistymi i nagłymi zwrotami. Izolda, traktując wojnę jak film akcji, jest również ofiarą własnej melodramatyczności: uważa się za osobę wyjątkową, godną hollywoodzkiej mega-produkcji. W Holokaust wdiera się kicz z dwuznaczną elegancją esesmanów.

Izolda czuje również podobieństwo do Elizabeth Taylor. Na lotnisku w Izraelu chce nawet poprosić aktorkę, by zagrała ją w filmie. Ochroniarz gwiazdy radzi, by Regensberg najpierw zainspirowała powstanie książki. Jej napisania oczekiwała od Hanny Krall. Ta poprosiła o pomoc Krzysztofa Kieślowskiego, który zaproponował premedytację hollywoodzki kicz. Spodobałby się Izoldzie, ale nie ceniącej oszczędność Krall („Im większa rozpacz, tym mniej trzeba zdań”).

Krall dla **Warlikowskiego**, który świat postrzega poprzez

pryzmat antyku, jest Home-rem XX wieku, bo w swoich reportażach opisała nieprzewidywalność i zagadkowość ludzkiego losu. W „Odysei” Warlikowski wyręcza Krall ze stworzenia scenariusza dla Hollywood, a nawet zrealizował z pomocą Pawła Edelmanna film rozgrywający się w Los Angeles. Scenarzystą jest w nim Marek Hłasko (Jacek Poniądziak). Oglądamy graną po angielsku kolaudację sceny wyreżyserowanej przez Romana Polańskiego (Piotr Polak).

Jednak producent Robert Evans (Marek Kalita) – ten od „Chinatown” i „Ojca chrzestnego” – mówi, że film o Holokauście może co najwyżej zdobyć Oscara, ale wielkiej kasy nie zarobi. Warlikowski ironizuje, że musiałby być tak kiczowaty, jak „Lista Schindlera” Spielberga, daleki od wiarygodności, jaką ceni Krall, a bliski melodramatu, którego żądała Izolda Regensberg.

Ale i ta kwestia nie jest jednoznaczna. Oglądamy rzekomy film Polańskiego. Izolda – Magdalena Cielecka gra Elizabeth Taylor, grającą Rosenberg – jest przesłuchiwana przez

esesmana (Bartosz Gelner). Wzrusza go swoją historią do tego stopnia, że nazista zamiast wysłać Żydówkę do gazu – zasiada do fortepianu i gra Wagnera (w ujęciu Pawła Mykietyna). Ale gdy myślimy, że tak kiczowaty musiałby być hollywoodzki film spełniający marzenia Regensberg – Warlikowski przenosi nas w obozową przeszłość. Regensberg – grana tym razem minimalistycznie przez Maję Ostaszewską – naprawdę wzruszyła esesmana.

Banalność zła

Odysiem XX wieku jest Martin Heidegger (Andrzej Chyra) w scenie z Hanną Arendt (Magorzata Hajewska-Krzysztofik). W ujawnionym dopiero po śmierci romansie w najbardziej radykalny sposób wyraża się paradoks ludzkich losów, uczuć i emocji. Przecież parę oglądamy po wojnie, gdy odnowiła znajomość mimo, że filozof poparł Hitlera, zaś żydowska myślicielka jest autorką „Korzeni totalitaryzmu” i terminu „banalność zła”.

W roli Heideggera i monologu zacerpniętym z szekspirowskiego „Ryszarda III” odzywa się mężczyzna, który próbując rozliczać się ze zła, de facto się usprawiedliwia. W dodatku wrzeszcząc jak Hitler. Co na to Arendt? Toleruje to z cierpliwością Penelopy.

W wolnym od prostego moralu spektaklu jesteśmy blisko czegoś, co puryści mogliby nazwać holokaustowym bluźnierstwem. Właśnie wtedy Warlikowski ucina spekulacje fragmentem „Shoah” Lanzmanna. Wyznanie fryzjera Abrahama Bomby, który strzygł w Treblince ofiary idące do gazu, to najbardziej wstrząsający fragment spektaklu. Abraham się dusi. Od leż i prawdy, której nie daje rady wypowiedzieć. Oglądamy scenę w stylu Krall. Żydowski dybuk nie daje spokoju Warlikowskiemu. A on nam. /